

# Bal maskowy w Sing-Sing

Amerykańskie więzienia dbają o rozrywki swoich lokatorów

Ameryka jest krajem najdziwniejszych pomysłów i najoryginalniejszych wydarzeń. Ekscentryczność amerykańska potrafi przedrzeć się nawet poza mury tak ciężkiego więzienia, jakim jest Sing-Sing.

Szef więzienia w Sing-Sing pragnie odwiedzić swoich pupilów od zdrowych zamysłów o ucieczce, oraz pragnie podnieść — jak się wyraził w raporcie złożonym swoim władzom wyższym — poziom obyczajów, postanowił zorganizować wielką zabawę maskową. Władze wyższe przychyliły jeden warunek, a mianowicie, że zabawa odbędzie się bez udziału publiczności z zewnątrz. Na balu w Sing-Sing mogą być obecni tylko lokatorzy tego więzienia. Jednakże po wielu staraniach udało się wyrobić zezwolenie, aby podczas zabawy, Sing-Sing gościło w swoich murach kilkadziesiąt osób z zewnątrz. Oczywiście, że w pierwszym rzędzie z zezwolenia tego skorzystał dziennikarze.

## CZARNA DZIESIĄTKA

Intendent gmachu Sing-Sing natychmiast po otrzymaniu pewnego małego funduszu na urządzenie zabawy polecił więźniom, aby wybrali spośród siebie komitet, który zająłby się zorganizowaniem balu. Tak się złożyło, że w skład komitetu weszli conajgroźniejsi bandyci, uczestnicy sławnej szajki, znanej pod nazwą „Czarna dziesiątka”.

W dniu balu o oznaczonej godzinie przybył z miasta zapukali do bram Sing-Sing. Przyjechali ich wartownicy odziani w odświętne mundury i białe rękawiczki. Intendent gmachu, mr. Bottom czynił honory domu, witając gości, a następnie oddawał przybyszów pod opiekę wartowników, którzy przeprowadzili ich dalej. Przedewszystkiem więc trzeba było minąć niezliczoną ilość schodów i szereg korytarzy. Na końcu za stalowymi drzwiami znajdowała się sala balowa, ozdobiona girlandami z kwiatów papierowych oraz oświetlona licznymi lampami.

## NAJDIWNIWSZA ORKIESTRA

Sala narazie jest pusta, tylko na podium ulokowana jest liczna orkiestra. Kapelmistrz — w białej błękitnej pasiastej piżamie rozgląda się po sali. Jest to mężczyzna około lat 40. Intendent Bottom objaśnia, że nazywa się on Albert Ehltham i był popularnym dyrygentem i kompozytorem znanym przez cały Broadway. Co

za przyczyny złożyły się na to, że dziś ta była gwiazda Broadwayu zajmuje stanowisko kapelmistrza w Sing-Sing? Okazuje się, że był kapelmistrzem Albert Ehltham bliski był już krzesła elektrycznego, gdyż oskarżony był o zabójstwo pewnej młodej kobiety. Podłoże zbrodni? — zazdrość.

A pozostali członkowie orkiestry? Intendent Bottom objaśnia, że prawie wszyscy więźniowie są niezwykle muzykalni, i że chętnie poświęcają się grze na swoich ulubionych instrumentach. Saksofonista, nazwiskiem Kelly był słynnym gangsterem. Czterech policjantów ostrzeliwało jego kryjówkę, zanim został schwytany. Ten znów, który gra na harmonij, był kapitanem okrętowym. Niezbyt dawno prasa poświęcała mu całe artykuły, gdyż on właśnie zabił w uniesieniu na statku „Prezydent Lincoln” dwóch ludzi. Pianista zaś — to człowiek, który wkrótce opuści Sing-Sing. Odpokutował już swoją winę — zabójstwo żony, którą skradł mu pieniądze. A ten mały grubas, który gra na bębnie, to słynny Felton — gangster, morderca i włamywacz, skazany był już na karę śmierci, ale w ostatniej chwili przyszedł ulaskawienie i tak oto wybijając pałeczkami na bębnie takt, uprzyjemnia sobie swój dożywny pobyt w Sing-Sing, nie tracąc oczywiście nadziei, że uda mu się uciec.

## PIRACI I KOBIETY

Nagle orkiestra uderza fanfary. Stalowe wrota otwierają się i

wchodzą goście balowi — mieszkańcy więzienia w Sing-Sing. Przedewszystkiem więc ukazują się cała grupa „piratów”. Ich dowódca przyodziany jest we wspólną purpurową pelerynę.

— Czy przed dostaniem się do Sing-Sing byli również piratami? — zadaje ironiczne pytanie któryś z dziennikarzy.

Intendent Bottom zaprzecza: — Nie. Naprzykład ten dowódca, ten kapitan piratów, był defraudantem.

Wtem wśród obecnych następuje poruszenie. Co to? Na salę wchodzi uroczą damą, w wytwornej wieczorowej sukni.

— To jest włamywacz — objaśnia intendent. — Niedościgniony imitator, a jego specjalnością jest naśladowanie głosu kobiecego. Ostatniego swego włamania bandyta ten dokonał w przebraniu kobiecym.

Po chwili wchodzi nowa grupa ukostjumowanych gości. Ci przebrani są za Senegalczyków. Następnie ukazują się na sali Montezuma, wspaniały i dostojny — odsiadujący karę za podwójne morderstwo. Za nim wkraczają dwaj lokatorzy Sing-Sing przebrani za Don Kiszota i Sancho Pansa. Są to dwaj t. zw. Kidnappers — porwacze dzieci. Następnie przesuwa się cały szereg więźniów w historycznych przebraniach — widzi się więc Newtona, Cromwella, Wellingtona i Napoleona. Ale sensacją wieczoru jest siedem tancerki.

## SING - GIRLS

Tancerki odnoszą naprawdę

niezwykły sukces. Siedmiu mężczyzn — siedmiu nieznanych imitatorów, — tańczą narodowy taniec hiszpański. Powiewają manyle i rozwiane włosy wspaniałych, ekscentrycznych hiszpańskich tancerki. Co za niesłychana gracia i wdzięk! Prostu wierzyć się nie chce, że są to przebrani mężczyźni. Ale w pewnym momencie jeden z piratów, czując widocznie jakąś zadawnioną anie do którejś z siedmiu uroczystych Sing-Sing — girls, ni stąd ni zowąd podbiega do tańczących i wymierza jej silny cios w szyję. Pełna gracji tancerka, zapominając o swoich damskich szatach oddaje pięknym za nadobne i momentalnie rozpoczyna się ogólna bójka. Zjawiają się dozorczy i po paru uderzeniach pałką gumową znów powraca porządek i atmosfera balowa. Orkiestra zaczyna melancholijne tango.

## SZTURM DO ZAMKNIĘTEGO DOMU

W połowie mniej więcej zabawy dobiega z zewnątrz gmachu więziennego jakiś hałas i kanonada. Goście, ci przybyłe z miasta, zdradzają wyraźne zaniepokojenie. Co to wszystko oznacza? Czyżby bombardowano Sing-Sing?

Okazuje się, jak wyjaśnia jeden z oficerów policji, że jest to odpieranie ataku 5-tysięcznego tłumu kobiet, które dowiedziawszy się o balu maskowym w Sing-Sing postanowiły za wszelką cenę dostać się do gmachu więziennego i wziąć udział w zabawie. Są to, oczywiście, wszystko przyjaciółki uwiecznionych, chociaż znajdują się między nimi także i damy z towarzystwa, żadne silnych wrażeń. Jako niezawodną broń dla odparcia tego kobiecego ataku, policja musiała użyć bomb z gazem łzawiącym, a zabawa w Sing-Sing w miłym nastroju przeciągnęła się do świtu.

## Po dziesięciu dniach

## Odkopano zasypanego górnika

KATOWICE, 3. 7. Niezwykły wypadek ocalenia zasypanego górnika zdarzył się na kopalni „Felbrück” w Zabzu. Zasypany został jeszcze dnia 23 czerwca maszynista tej kopalni Wł. Natychmiast po katastrofie drużyna ratunkowa przystąpiła do odkopania komory, w której, jak przypuszczano, przebywał Wł.

Oczekując drużyna ratunkowa za mierzala założyć nabój i wysa-



## Personalja

Przed okienkiem, w którym jaśniała łysina pana Grypsa, uformował się długi ogonek. Ludzie wyjeżdżający tłumnie na letniska, cisnęli się po odbiór swoich oszczędności. Pan Gryps nie był tego dnia w dobrym humorze, zresztą nie dziwnego, siedzenie w okienku w temperaturze 40 st. nie należy do przyjemności, toteż pan Gryps ciskał groźne spojrzenia, szerząc postrach wśród stojących w ogonku klientów. Przeglądał starannie podsuwane mu dokumenty, sprawdzał dokładnie podpisy w nadziei, że może uda mu się wypatrzyć jakąś niedokładność, która dostarczy mu w tej monotonii, złośliwej rozrywki.

Nieczytelny podpis pewnej staruszki wydał mu się podejrzanym. Jest coś nareszcie, pan Gryps zmarszczył czoło:

— Ma pani dowód osobisty? — zapytał oschle.

— Nie, proszę łaski pana dyrektora, ale czyż dla takich drobnych pieniędzy potrzebny jest dowód? — odrzekła strwożona staruszka.

— Pani jest obowiązana okazać mi dowód na żądanie, czy ma go pani przy sobie? — powtórzył z naciskiem.

— Ależ, panie kierowniku najmilszy, skąd ja biedna stara kobieta mam mieć dowód i poc. Jak żyje nikt mnie nie pytał o żaden dowód.

— No, to trudno, nie pani na to nie poradzę, proszę się wysta-

rać o dowód i wtedy pani wypła-

— O, mój Boże kochany — zalamala ręce staruszka — przecież tu chodzi tylko o cztery złote i groszami. Muszę je posłać córce co pojechała na wieś w Kieleckie i brakuje jej do biletu, na powrót. Pisała już dwa listy, biedactwo, więc muszę jej posłać. Niech pan się zlituje i wypłaci mi te moje drobne zaoszczędzone pieniądze. Przecież mnie ludzie znają, że nie jestem żadną złodziejką i po cudze nigdy ręki, jak żyje, nie wyciągnęłam...

— Wierzę w pani uczciwość ale, instytucja nasza nie ma przyjemności znać pani osobiście, a przepis wymaga okazania w wątpliwych wypadkach dowodu.

— To ja wiem panie, że pan mnie nie zna, bo skąd panby miał pamiętać taką biedną starą kobietę. Ale, panie dyrektorze, ja znam pana, bo pan mieszka na Kruczej pod 7-mym na parterze, a ja pod panem w suterynie. Żona pana dyrektora, to mnie zna, bo schodzi czasem do mnie żelazka pożyczając...

— Co pani mi tu będzie głowę zawracać — zachnął się pan Gryps nieco zmieszany — klienci się niecierpliwią, ma pani dowód, czy nie?

— Tak, panie dyrektorze najmilszy, — ciągnęła dalej staruszka — ja mieszkałam tam przedtem nim się państwo sprowadzili, a ta dziewczyna w czerwonym berceku, co ją pan wieczorą na schodach zaczepił, to moja młodsza córka, Jagusia. Pamięta pan wieczorą, jak pan wracał rano pod gazem, powiedział jej pan, że jest milusia, to moja córka.

A jeszcze, jak pan nie wierzy, to jeszcze panu powiem, że dziś rano, jak pan wychodził do biura, to pan tak trzasnął drzwiami, że aż się — szyby u mnie w suterynie zatrzęsły... a żona pana dyrektora wyjadła za nim i wołała:

— Lajdak... Lajdak...!!

— Pozwoli pani książeczkę, ile mam pani wypłacić? — zapytał pan Gryps drżącym głosem.

— No, przecie tam wypisałam, 4 złote 20 groszy...

— Aha... to dobrze, niech pani idzie do sąsiedniego okienka, tam pani wypłaci.

Ogonek posunął się naprzód o jedną osobę

Jur.

Antoni Marczyński

# Zemsta Hindusa

Powieść egzotyczna

— Nie, — odparł Prado. — Podróżowałem bez służącego. To znaczy, owszem, miałem całą karawanę tragarzy, lecz zapłaciłem im wszystko ściśle według naszej umowy. Nie przypuszczam również, aby który z nich skrzywdził jakiego tubylca podczas tej podróży przez bezludne dżungle Birmy.

— W Birnie? Hm, tembardziej. — Co, tembardziej? — zaniepokoił się Freddy. — Tembardziej zachodzi możliwość, że ktoś, kto do pana ma nienawiść, u jakiegoś czarownika zamówił dla pana wielkie przekleństwo.

— Nonsens! Nie wierzę w takie historie. Nikogo z tubylców nie skrzywdziłem, ani...

— Niech-no mi pan pokaże swoją dłoń.

Prado z wahaniem wyciągnął rękę; siedział, jak na rozżarzonych węglach, gdy stary Malaj wodził palcem po jej linjach i długo, długo mruczał coś pod nosem, chwytając przy tem głową w sposób niepokojący.

— Czy będę bogaty? — spytał Freddy, chcąc przerwać te pomruki.

— Bardzo! Ale...

— Nic więcej wiedzieć nie chcę! Wystarczy mi, że będę bogatym.

— Może to i lepiej, że pan nie dowie się reszty... przed czasem. A co do tej krzywdy, której pan rzekomo nie wyrządził, to niech pan stara się ją naprawić jak najprędzej!

— A jeśli to... to jest już niemożliwe?

111)

— Niemożliwe? Dziwne, czyżbym się pomylił? Bo z pańskiej ręki nie wynika, że pan jest zabójcą... Zatem ta osoba zmarła po...

— Ależ nie! Ona żyje... przypuszczam.

— No, skoro żyje, to zło naprawić można choćby częściowo. Tylko spiesz się pan! Już pięć razy byłeś w niebezpieczeństwie życia i dotychczas żyjesz, ku memu zdziwieniu. To znak, że z wielkim przekleństwem siera się czyjaś serdeczna dla ciebie życzliwość. Ona ci obroniła i może jeszcze nieraz obroni. Lecz jeśli ona wygaśnie wcześniej, niż umrze ten, co zamówił klątwę na ciebie, będziesz... ach, prawda! szanowny pan nie życzy sobie wiedzieć, co z nim będzie, poza tem, iż będzie bogatym...

Po tej rozmowie Freddy Prado stracił humor na dobre. Starał się wyśmiać te azjatyckie zabobony, ale nie zdołał; to, co „nagle” dził ów stary idjota” nazbyt zgadzało się z rzeczywistością, względnie, zgadzało się mogło. Tym, który „zamówił wielkie przekleństwo” był niewątpliwie Bahadur Pagan. Tę, której „serdeczna życzliwość” ocalała mu życie pięć razy była z pewnością Zosia. Najwidoczniej Bahadur nie pokazał jej listu z tyłoma zniewagami, duma nie pozwoliła mu na to. Dzięki temu Zosia, nie wiedząc jeszcze, że swoje nieszczęście zawdzięcza mężowi, wspominała go z ową „serdeczną życzliwością”, może nawet modliła się za niego gorąco. Lecz jeśli Bahadur kiedyś powie jej całą prawdę, jeżeli pokaże jego obojętny list i...

— Idjoty! Ja chyba zgłupiałem, że przejmuję się takimi banialukami, — zachnął się i zaczął pić naumór, by zapomnieć, znowu zapomnieć o Bahadurze, o Zosi, o swoim haniebnym czynie.

Udało mu się to narazie, lecz w parę dni później, mianowicie 7-go maja straszliwa katastrofa ukoronowała serię jego dziwnych wydarzeń.

Od rana leżała na morzu gęsta mgła. By nie wpaść na inny statek, „Lusitanja” posuwała się powoli, ostrożnie, dając co minutę przepisowy, długi sygnał syrena. Po kilku godzinach tego monotonnego koncertu ludzie jakgdyby pogluchli; niewielu usłyszało dźwięki gongu, wzywającego na lunch i stewardzi musieli

krążyć od jednej grupki pasażerów do drugiej.

— Prosimy uprzejmie na lunch. Przy końcu podróży przez wzgląd na napiwki stewardzi są zawsze ogromnie grzeczni. — Prosimy na ostatni lunch na statku.

— I ostatni w życiu dla wielu, dla bardzo wielu, — odburknął stary Malaj, szczególnie ponuro usposobiony tego dnia.

— Mgła przerzedza się, widać ziemię, — zawołał ktoś zgóry.

— Po lunchu zobaczycie ją państwo wyraźniej, prosimy na lunch.

Ci, którzy z sal jadalnych udali się do swoich kabin na popołudniową drzemkę, nie ujrzyli już nigdy ziemi, ani słońca, lecz większość pasażerów wyległa na pokłady. Syrena nie ryczała obecnie, bo mgła ustąpiła zupełnie i pokryte zielenią brzegi południowej Irlandji widać było, jak na dłoni; defilowały one wzdłuż lewej burty statku, który właśnie przepłynął obok zatoczki Clonsilla. poczem skierował swój dziób w stronę cypla Old Head of Kinsale.

W tym czasie Freddy Prado, popijając w głównym barze „Lusitanji” zoczył przez otwarte naoścież drzwi starego Malaja na pokładzie.

— Hallo, panie magik, — zawołał (pod gazem nie lękał się niczego) — jakoś nie wydarzyło się nic, chociaż nastąpił już ostatni dzień podróży.

— Nastąpi, ale jeszcze nie minął!

— Minie również bez przygód, — wtrącił jednooki barman i dodał z dumą, — jesteśmy już na naszych wodach, na angielskich.

— Śmierć dotrze wszędzie, a teraz jest bliżej nas, niż kiedykolwiek w tej podróży.

— Bliżej n a s? To znaczy, że nie ty jeden wyciągniesz kopyta?

— Nie jeden, nie stu i nie tysiąc!

— Do licha, — barman parsknął śmiechem, — z takiej rzezi pan także nie powinien wyjść cało.

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dział polityczny i ekonomiczny); 6.66.65 (dział miejski i liter.-art.); 6.66.51 (miedzymiastowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12—13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zrząd 691.64. Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDWIAWIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miesięczna (z odnośnikiem do domu) i zamiejscowa zł. 2.30 miesięcznie; wraz z dziełami Śienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

**Ceny ogłoszeń:** za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-ej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, te 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszyński.